



Przedpłata na *Nowy Dzwonek* razem z *Nowinami* i *Rozmaitościami* wynosi w Galicyi:

rocznie: 3 złr.

półrocznie: 1 złr. 50 ct.

Kwartalnej przedpłaty nie przyjmuje się.

W Niemczech rocznie: 6 mk. — półrocznie: 3 nuk.

W Ameryce rocznie: 1½ dolara.

Adres do przesyłania przedpłaty: *Redakcja Nowego Dzwonka*, w Krakowie, ul. Basztowa l. 4.

Wychodzi dwa razy w miesiącu — dnia 1-go i 15-go.

Wydawca i redaktor: *Ks. Marceł Dziurzyński.*

Do **każdego** numeru dołącza się **bezpłatnie** drugą gazetkę pod tytułem: *Nowiny i Rozmaitości.*

Każdy, kto złoży **całoroczną** prenumeratę na *Nowy Dzwonek*, otrzyma za to w Lutym b. r. jako premię bezpłatną książeczkę p. t.: „*Pamiętka katolicka*“. Na przesyłkę pocztową tej premii należy dołączyć do prenumeraty 10 centów (z Niemiec 15 fen.).

Kto zaś (oprócz siebie) pozyska dla *Nowego Dzwonka* choćby tylko **jednego** nowego prenumeratora, ten osobno otrzyma za to jako drugą nagrodę książkę do nabożeństwa p. t.: „*Droga do nieba*“.

SERAFIA.

Opowieść z pierwszych wieków chrześcijaństwa,
oraz historia **wizerunku Najśw. Oblicza P. Jezusa.**

(Dokończenie.)

— Zostałam młodo poślubioną Sirachowi, który był członkiem rady przybytku Bożego. Mielśmy dwu synków i żyliśmy szczęśliwie, połączeni w miłości, pełni nadziei w obietnicy, którą Bóg dał Izraelowi...

Wraz z nami, oczekiwało w ostatnich czasach wielu innych żydów, strzegących wiernie Pańskiego zakonu — przyjscia zapowiedzianego Mesyasza. Siedmdziesiąt dwa tygodnie, przez Daniela głoszone, upłynęły, berło wydarte już było ręką pokolenia Judy, wszystkie proroctwa zdały się wypełnione, a prawo z góry Synai miało być innem zastąpione: prawem łaski i miłosierdzia. Sprawiedliwy miał zstąpić na ziemię, jak rosa na wyschłe pola. Rzuciwszy się na twarz przed Pańskie ołtarze, powtarzaliśmy gorąco te słowa, które Duch św. natchnął Izajaszowi: „Zeszlj nam Obiecanego! Otwórzcie się niebios a i spuście nam Zbawiciela“.

Dnia jednego rozeszła się pogłoska, że nasze błagania wysłuchane zostały... Marya, małżonka Józefa, została błogosławioną między niewiastami, bo porodziła Zbawienie świata.

Królowie z granicznych kończyn Azyi przyszli mu się pokłonić i ofiarowali mu mirrę, kadzidło i złoto... Jakże radowaliśmy się w sercach naszych! Myśleliśmy, że powrócą minione czasy Dawida i Salomona. Z macierzyńską dumą patrzyłam na moje chłopięta, zdrowo i pięknie się rozwijające i w duchu poświęciłam ich służbie nowonarodzonego króla.

Dnia pewnego, gdy zatopiona w słodkim marzeniu, siedziałam sama przy ich kołysce, bo mąż mój udał się na zgromadzenie rady, doleciał nagle uszu moich głośny okrzyk boleści, więc przestraszona zerwałam się, spiesząc do drzwi, przy których słudzy moi zebrani już stali. Wtedy ujrzałam, jak ulicą biegły gromady rozszalałego żołnierstwa z mieczami i toporami w ręku. Przed nimi uciekały jęczące niewiasty, w rozpaczliwym bólu cisnąc do serc swe niemowlęta. Widziałam, jakim je wydzierano i jak niewinniątka pod ich okrutnymi razami wydawały ostatnie tchnienie z drobnych usteczek.

Oślupiała z przerażenia patrzyłam wzdłuż drogi, nie pojmując, co znaczą te mordy. Wtem przypadła do mnie jedna z mych przyjaciółek, blada, z rozwianym włosiem, z dziecięciem przy piersi.

— Ratuj twych synów, Sarafio; Heród każe wszystkie dzieci zabijać, aby Mesyasza stracić — zawołała prawie bez tchu.

Przejęta nieokreśloną trwogą, spieszę do izby i porywam moje dzieci z kołyski, by je gdzieś ukryć; ale gdzie?! Jeden z chłopczyków, przestraszony gwałtownem przebudzeniem, zaczął głośno płakać. Wtedy wszystko było stracone. Dźwięczny głos dziecięcy ściągnął kroki morderców do domu! Krótkie było starcie przy drzwiach; po chwili wpadli do wnętrza. Jak

lwica broniłam swych małych, ale mnie potracili i cisnęli o ziemię.

Gdy po godzinnem pozbawieniu zmysłów, wróciłam do przytomności, leżałam na łóżku, otoczona płaczącymi niewiastami. Mój mążonek schylił się ku mnie z twarzą napiętą bólem. Zapytałam o me dzieci — milcząc twarz odwrócił. Wtedy zerwałam się i chwiejącymi krokami szukać ich zaczęłam. Ujrzałam je w kołysce, uwieńczone kwiatkami, podobne śpiącym aniołkom, chciałam przycisnąć do serca... były martwe i zimne. Roztworzyłam sukienki, ukazały się roztwarte, krwawiące rany... były to już tylko dwa trupki.

— Przypominam sobie — wtrącił cesarz z ponurym uśmiechem — że mój poprzednik cesarz August dowiedziawszy się o tej rzezi, zawołał: „Lepiej być psem Herodą, niż jego synem!“ *)

— To prawda, panie; kat tylu istot niewinnych, nie oszczędził nawet swej krwi własnej — mówiła Serafia dalej. — Jednak dziatek tych żałować nie trzeba, bo poniosły śmierć za Chrystusa i otrzymały już w kolebce zwyciężką palmę wiekuistej szczęśliwości. Pożałowania godnymi były tylko biedne matki.

— Żyłam odtąd jak istota, która już żadnej pociechy się nie spodziewa. W głębokiej samotności upływały mi długie i smutne lata i wzdychając nad swym losem, widziałam tylko przed sobą sierocą starość, pozbawioną wszelkiej otuchy.

Jednego razu odwiedziła mnie krewna moja, mieszkająca w okolicach Sydonu, nad brzegiem morza. Zdziwiona byłam widząc ją, bo wiedziałam, że ciężka choroba trzyma ją od wielu lat do łóżka przykutą. Teraz stała przedemną silna i kwitnąca zdrowiem, jak gdyby fala nowego życia wpłynęła w jej żyły.

— Wielki prorok powstał pomiędzy nami, Serafio, — rzekła mi w odpowiedzi na pytania, które mi ją zarzuciłam, — słuchaj, co mi się wydarzyło. Byłam, jak wiesz, od dwunastu lat chorą i zwątpiłam już o jakimkolwiek ratunku, ale oto usłyszałam, że Jezus z Nazaretu Boskich rzeczy dokonywa, że lud naucza, jako ten, który ma moc do tego i że uzdrawia chorych jednym słowem lub położeniem rąk swoich, a nawet samą tylko wolą. Wtedy obudziła się nowa nadzieja w mej przygnębionej duszy i usłyszawszy, iż Jezus niedaleko mego mieszkania na chwilę się zatrzymał, umyśliłam postarać się

*) Podanie mówi, iż dwaj synowie Heroda w ogólnej rzezi niewinńtek także śmierć ponieśli.

zbliżyć do niego. Z pewnością dopomógł mi w tem jeden z tych Aniołów, którzy nieustannie przed obliczem Pana krążą. Z trudem przez tłum się przecisnęłam i z daleka zabaczyłam wzniosłą postać Syna Bożego. Słyszałam słowa Jego, mówiące o miłości ku Bogu i bliźniemu i widziałam, jak błogosławiąc, wyciągnął ręce nad ludem. Wtedy wzmogła się moja wiara i zaufanie.

— O, — rzekłam w duchu — gdybym tylko rąbku szaty jego dotknąć się mogła, wnet uzdrowionąbym była.

Zebrałam wszystkie siły i udało mi się dostać tuż obok Niego. Padłam za Nim na ziemię i dotknęłam kraju Jego odzieży. W tejże chwili, Serafio, uczułam się zdrową. Młodzieńcza siła przenikła mą istotę. Wtedy odwrócił się Pan i zapytał: „Kto mnie dotknął?”

Uczniowie odrzekli!

— Mistrzu, pytasz, kto Cię dotknął, a widzisz przecie, że tłum ze wszech stron otacza Cię i naciska!

Ale Jezus powiedział:

— Ktoś mnie dotknął, bo czułem, że siła wyszła ze mnie.

Spojrzał wkoło i ponieważ miejsce próżne trochę się rozszerzyło, nie mogłam się już ukryć. Ujrzałam przed sobą, Serafio, twarz Boską, której ten, co raz widział, zapomnieć już nie może. Drżąc cała, upadłam raz jeszcze do stóp Jego i wyznałam, że to ja uczyniłam, że gorące pragnienie wyzdrowienia tę myśl mi natchnęło i że nadzieje moje spełnione zastały. Prosiłam, aby mi to odpuszcił.

Wtedy Pan poważnie a łagodnie rzekł do mnie: „Ufaj córko, wiara twoja cię uzdrowiła!”

Od tego dnia powróciłam do zupełnego zdrowia, a iżby okazać wdzięczność mą Bożemu Dobroczyncy i zewnętrznie, kazałam niedaleko domu postawić bronzową grupę, w której przedstawiony jest Pan w Swym majestacie i łaskawości, a ja, jako biedna kaleka, leżąca u nóg Jego i wyciągająca rękę, by dotknąć rąbka Jego szaty.*)

Ty musisz także, Serafio, podążyć do Odkupiciela, aby z ust Jego usłyszeć słowa żywota wiecznego, a spokój i otucha wróćą do twego zboląłego serca.

Tak mówiła do mnie Enue, pokrewna moja, żyjący dówód mocy Boskiej Jezusa Chrystusa i obudziła tem we mnie

*) Według świadectwa pisarza Euzebiusza z Cezarei i innych chrześcijańskich dziejopisarzy, niewiasta owa z pod Sydonu kazała rzeczywiście postawić dwa posągi jako odznakę swej wdzięczności za cudowne uleczenie z niemocy. Posągi te za panowania cesarza Juliusza Zaprzańca (Apostaty) na jego rozkaz zburzone zostały.

żywą chęć widzenia i słyszenia Tego, za którego dzieci moje młodociane życie swe postradały.

Zasięgnąwszy wiadomości, dowiedziałam się, iż skierował swe kroki ku Jerozolimie, więc wmięszawszy się w rzeszę, która dniem i nocą szła za Nim, słuchałam Jego Boskich nauk.

Nie będę ci tu, panie, więcej opowiadała o Jego sprawiedliwości i mądrości, o Jego niewytlómaczonem miłosierdziu i litości, bo mam żywą nadzieję, że uczynki Syna Bożego same przemówią do serca twego i pobudzą je do poznania i umiłowania Jego nauki. Co do mnie, to ja czułam się całkiem przeistoczoną; moja boleść zmieniła się w świętą radość, a przygnębienie w nadzieję. — Jedyłą rzeczą, która szczęście me émiła, była uzasadniona troska o życie Mistrza. Zdawało się, iż całe piekło, w osobach Jego nieprzyjaciół przeciw Niemu się sprzysięgło — a On sam bliską swą śmierć przepowiedział.

Było to w czasie, gdy żydzi obchodzili święto Paschy, dzień jeden przed sabasem. Od samego rana cała Jerozolima była w poruszeniu i zamięszaniu. Jezus, którego zdradził jeden z uczniów, wydany został arcykapłanom.

Z rozdartem sercem i z ogromną trwogą dowiedziałam się o tem, jak Król nad królami, jakoby prosty przestępca przed Kajfasza stawionym być musiał i jak Go znieważano w oną noc straszliwą, której szatańskie udręczenia kiedyś w wielkim dniu sądu odkryte zostaną. Co godzina dochodziła uszu moich jakaś wieść niepokojąca. Namiestnik Judei odesłał Jezusa do Heroda, a ten wyszydził Syna Bożego wobec swego bezbożnego dworu. Przyprowadzony przed Piłata, wycierpiał niewolniczą chłostę, a grubiańscy okrutni żołdacy uwieńczyli cierniem Boga, który stał się człowiekiem, aby ród ludzki wykupić...

Nikczemny i bojaźliwy Piłat uległ wściekłemu naciskowi ze strony nieszczęsnego ludu, a choć zewnętrznie ręce od winy umył, jednocześnie splamił się na wieki krwią najświętszą, wydając na śmierć Jezusa.

A ten, zawsze cierpliwy i na ofiarę gotowy, dla swych zażartych katów uczucie miłości jeszcze znalazł. Miłość więc Jego nad śmierć była silniejszą.

Wyrok został wydany i orszak szykował się w drogę na Golgotę; droga prowadziła obok mego domu... już zdaleka gwar mię dochodził. Wtedy powzięłam pewien zamiar i stanęłam na progu mieszkania, czekając na Niego.

Ujrzałam nadętych, bogatych faryzeuszów, pełnych zjadliwej radości, jak w tej męczeńskiej drodze konno towarzyszyli Sprawiedliwemu. Widziałam pod błyszczącym hełmem blade,

strwożone oblicze Poncyusza Piłata. O, przypatrzyłam mu się dobrze, aby go kiedyś przed tronem wiecznego Sędziego rozpoznać... Widziałam zdziczałych, w złości zawziętych ludzi, którzy, śmiejąc się, niesli gwoździe, drabiny i powrozy. Wzburzona, krwi łąknąca tłuszcza zasłaniała jeszcze Jezusa przed moim wzrokiem, tylko przekleństwa i brutalne szyderstwa dźwięczały mi w uszach. Wkońcu spostrzegłam i Jego. Twarz boska, blada śmiertelnie, krwią i potem była zlaną. Z największym wysileniem trzymał się na nogach pod niesłychanym ciężarem krzyża, który Mu wtłaczono na poranione barki.

Na ten widok nie mogłam już dłużej wytrzymać... Odrzucając na bok wszelką przyrodzoną trwogę, pospieszyłam poprzez katów wprost do Jezusa, a ściągawszy chustkę z głowy, padłam przed Nim na kolana, mówiąc te słowa: „Niechże godną będę twarz Pana mego obetrzeć!“ — Jezus wziął chustkę lewą ręką, przyłożył do Swej świętej twarzy i podziękowawszy oddał mi ją napowrót. Przycisnęłam do serca tę chustkę, teraz tak dla mnie drogocenną, a przeniknioną boleścią i ściganą złorzeczeniem pospółstwa, powróciłam szybko do domu.

Gdy po części przyszedłam już do siebie po tem przerażeniu, rozłożyłam przed sobą ową tuwalnię. Jakże się przelekłam! ale zarazem jakąż dusza moja napęłniła się pociechą i rozrzewniła dobrocią Pana mego, gdy ujrzałam, iż On, na podziękę za mą nędzną przysługę święte Swe rysy na tkaninie uwiecznił. Tak jak widziałam boską tę twarz żyjącą przed sobą zmienioną i krwią ociekłą, a jednak tak niewymownie podziwu i czci godną, tak ją znów teraz ujrzałam.

Wielką łaskę zaiste uczynił mi Pan, biednej grzesznicy, zostawiając mi tak szacowną pamiątkę. Z wzrastającą czcią i bólem wpatrywałam się bez przerwy w ten cudowny wizerunek...

W trzy godziny później wszystko było dokonane — Jezus umarł... a świat był odkupiony!“

* * *

Takie było opowiadanie Serafii. Tyberyusz słuchał jej z namiętną uwagą, potem ostro, nagle, z tłumionem wzruszeniem wewnętrznym rzekł:

— Kobieto pokaż mi tę chustę.

— Patrz tu, panie — odrzekła Serafia, otworzywszy srebrnym kluczykiem cedrową szkatułkę i wyciągnawszy długą zasłonę z białej wełny. Zbliżyła się do łoża, a rozkładając ją

przed cesarzem, modliła się gorąco w duchu: „O mój Boże, pokaż teraz moc swoją!”

Cudowna chustka przedstawiała rysy skrwawionej, pełnej nieokreślonej szlachetności twarzy, otoczonej cierniową koroną, której bolesne a święte odbicie nappełniało duszę zarazem trwogą i głębokiem wzruszeniem. Tyberyusz przyglądał się długo temu obrazowi godnemu uwielbienia. Drżące ręce bezwiednie wyciągnął ku niemu, lecz po chwili trwożną czią przejęty cofnął je. Uczucie, którego dotąd nigdy nie doznawał, poruszyło mu serce... W tej chwili podniósł się na łożu i zawołał głośno, z przejęciem:

— Twój Bóg, kobieto, jest wszechmocnym Bogiem... jestem uleczony!

Serafia modląc się padła na kolana.

Tyberyusz uszanował jej zachwyt pobożny. Przez chwilę panowała cisza niezmacona w cesarskiej komnacie. Potężny władca Rzymu był pogrążony w głębokiej zadumie. Wreszcie zmienionym, łagodnym głosem przemówił:

— Serafio, wyświadczyłaś mi wielką przysługę i wielką też musi być moja nagroda. Zostań w Rzymie w pobliżu mojem. Daruję ci wspaniały dom i licznych niewolników. Będziesz mogła Bogu swemu każdej chwili cześć oddawać w spokoju. Żadna niewiasta, przysięgam to Bogu twojemu, nie będzie tak jako ty czczoną, nawet sama cesarzowa. Chcę cię obsypać dowodami mej łaski.

Serafia łagodnie się uśmiechnęła.

— Składam ci dzięki, panie, za tyle dobroci, ale moje serce żadnych już ziemskich nie żywi pragnień. Rozłączywszy się z małżonkiem, który z wiarą w naszego Odkupiciela przeszedł już do niebieskiej ojczyzny, chciałabym i ja, tak jak on, przy grobie Jezusa Chrystusa dni moje zakończyć.

— To chcesz wrócić do Jerozolimy?

— Tak, miłościwy monarcho.

— Więc obdarzę cię złotem i klejnotami.

— Panie, nie potrzebuję ich, dzięki ci za nie.

— To zabierz z sobą przynajmniej drogich wonności, aby je spalić na grobie swego Boga.

— Złożę tę ofiarę za ciebie, cesarzu, Panu nieba i ziemi. Niech dym wonny wznosi się z nich przed Jego ołtarzami. On sam nie spoczywa już w grobie, lecz pełen chwały króluje w niebiosach.

— A zresztą żadnego nie masz żądania?

Serafia zwróciła swe jasne, pogodne spojrzenie na poorane namiętnościami rysy imperatora i składając ręce zawołała:

— Panie, gdybyś chciał uczynić postanowienie, by poznać Boga chrześcijan, Tego, którego mocą zostałeś tej godziny uzdrowion!

— To być nie może — odparł żywo Tyberyusz, twarz odwracając — byłoby to wyrzec się władzy, bogactw, cesarskiego tytułu...

— Czyż prawda nie droższa nad to wszystko?

— Żegnaj, niewiasto, bywaj zdrową. Jak długo panować będę, przyrzekam ci, że uczniowie Chrystusa w spokoju żyć będą. Teraz odejdz już.

Serafia westchnęła. Chwila łaski przeszła, nic nie dziając... Światło zajaśniało w ciemności, ale żądza władzy i używania niebiańską tę pochodnię zagasila. Milcząca i smutna opuściła cesarski pałac.

Dzieje rzymskie opowiadają nam o strasznym i haniebnym zgonie Tyberyusza, po życiu pełnem niegodziwości i okrucieństw wszelkiego rodzaju.

O Serafilii mówi podanie, iż wróciła do Jerozolimy, aby tam skończyć życie, gdzie umarł Jezus. Prześladowana od żydów za wyznawanie wiary Chrystusowej, została w końcu schwyconą i wtrąconą do więzienia, gdzie jako męczenniczka głodową śmiercią zginęła. Chrześcijanie uczcili pamięć tej świętej niewiasty, dając jej imię: »*Weronika*«, co na polskie oznacza „prawdziwy obraz“, jako przypomnienie tej wielkiej łaski, jaką ją Bóg obdarzył.

X.

MIKOŁAJ GIEDLAR, włościanin

fundator wsi i kościoła.

(Z pism ś. p. X. Wojciecha Michny).

Myślą sobie ludzie, że w polskim kraju sami tylko króle. Biskupi, pany, albo zakonnicy zakładali miasta, wsie i stawiali kościoły, a chłopci tylko pomagali im. A oto stare książki kościelne inaczej piszą o chłopach dawnych i wychwalają jednego za to, że sam chłop założył wieś i swoim kosztem kościół w niej dla braci biedniejszych fundował, więc był fundatorem wsi i kościoła.

Na dowód opowiem wam bracia chłopcy na razie historię o *Mikołaju Giedlarze*, który żył za króla Jagiełły we wsi pod Leżajskiem. Wybrałem umyślnie Leżajsk, bo tam na odpusty

chodzicie, wieś *Giedlarową* znacie blisko Leżajska położoną i oczywiście możecie się przekonać sami, że ona została założona r. 1409 od Mikołaja Giedlara, i na wieczystą pamiątkę od niego jest nazwaną *Giedlarowa*. A jest tam i kościół z patronem św. Michałem, jako pamiątka chłopka tego samego.

Ale nietylko książki stare to świadczą, bo utrzymała się o tym chłopku i gadka ludowa, która jest żywą ludową historią już 500 lat; ona opowiada słowo w słowo jak i stare książki, całą piękną sprawę o chłopku Mikołaju Giedlar, że był fundatorem wsi i kościoła.

Abyście tę gadkę dobrze zrozumieli, otóż wypisuję to, co stoi w *Aktach*, tj. starych książkach opisane.

Król Jagiełło miał dwór drewniany we wsi *Medyka* koło Przemyśla, gdzie często przebywał dla odpoczynku i spokoju. Nie siedział on tu darmo, ale założył miasta *Mościska*, *Nizankowice*, *Pruchnik*, *Leżajsk* itd. A gdzie dziś Leżajsk miasto, tam w lasach nad Sanem była wieś *Leżeńsko*, z tej zrobił król Jagiełło miasto.

Od Leżajska aż po Sandomierz to lasy, piaski, dawna pustynia sandomierska, bez wsi, kościołów, albo rzadko gdzie wioska jaka była.

W tej pustyni rozdawali królowie tak panom, jak chłopom pustki, a ci stawiali wsie i kościoły, a byli tu sołtysi bogaci, mieli po 100 morgów albo i więcej pola, wypasali stada bydła i mieli pasieki w lasach, do dziś są jeszcze potomki dawnych sołtysów i mają prawa od królów spisane, które ja sam czytałem między chłopami.

Otóż za króla Jagiełły był we wsi *Leżeńsko* takim bogatym kmieciem, sołtysem, oraz i borowym Mikołaj Giedlar, a jak król Jagiełło zakładał w pustyni i w lasach wsie, a ze wsi starej *Leżeńsko* zrobił *Leżańsk* dziś *Leżajsk*, a chłopów zmienił na mieszczanów, otóż Mikołaj Giedlar został także sławnym mieszczaninem i wójtem miejskim.

Ztąd poznał go król Jagiełło i polubił jako pobożnego Polaka, bo pomagał królowi w zakładaniu wsi, n. p. *Jagietka* wieś, nazwana od Jagiełły itd.

Gdy król poznał rozum Giedlara, otóż darował mu szmat lasu i pozwolił drzewo ścinać, a na karczowisku wieś dla siebie założyć.

Giedlar zebrał sobie chłopów, rozdzielił las między nich i wieś stanęła *Giedlara*, tj. *Giedlarowa* własność, jak stoi dziś 500 lat prawie. Chłopi zbudowali i drugą wieś *Biedaczów*, bo nie mogli się zmieścić w jednej wsi.

Gdy wieś była gotową, nie było kościoła, otóż Giedlar swoim kosztem wystawił kościół wśród lasów drewniany, a Biskup Piotr Chrzastowski z Przemyśla, nadał kościołowi św. Michała za Patrona, jaki jest do dziś w parafii.

Wybrał św. Michała na to, aby bronił wieś i okolicę w czasie napadu od Tatarów, którzy w te strony od Przemyśla mogli łatwo przybyć, bo mieli od Jarosławia gościniec dobry na Leżajsk do Lublina, tj. drogę lubelską od Kazimierza Wielkiego wytyczoną.

Wieś ta z kościołem dostała się potem zakonnikom, stróżom Bożego grobu, którzy drewniany kościół Giedlara przerobili na murowany, ale św. Michał został patronem.

Otóż Mikołaj Giedlar, poprzód kmieć, borowy, potem sławetny mieszczanin, jest fundatorem wsi i kościoła w Giedlarowy.

To opowiada także prosta gadka.

W Polsce miasta, wsie, kościoły
Są królów, panów pamiątki.
Lecz trafia się także sioła,
Jak to piszą dawne książki.
Że niejeden chłop bogaty
Sam całą wieś wybudował
I dla nauki, oświaty
Swym kosztem kościół fundował.
Ot! stoi wieś koło Leżajska
Pięćset już lat zbudowana,
Której nazwa nie jest pańska,
Lecz od chłopca jest nadana.
Bo od pobożnego kmiecia
Założoną jest w starostwie (Leżajskim),
Co był sołtysem w powiecie
Głośnej puszczy sandomierskiej.
Miał dom porządny, ogrody,
Sad, pasiekę, staw z rybami,
A z bydła grube przychody,
Żył z panami i królami.
Pisał się *Mikołaj Giedlar*
Z dziada bartnik i borowy,
Posyłał swój własny galar,
Masło, miód, воск do Krakowa.
Był dobrze królowi znany,
Który w Leżeńsku był często,
Bo stawiał wieś *Jagietka* zwaną, (stoi dziś)

A z *Leżeńsk* wsi robił miasto. (r. 1397,
Dla zasług dał mu król prawo, (r. 1409)
Podarował pustek koło,
By se wyciął wszystko drzewo,
Z drzewa wybudował sioło.
Giedlar ogłosił ludowi,
Że mu król las podarował,
By z chłopami na pustkowiu
Sobie i im wieś zbudował.
Wnet przyszła chłopów gromada,
Stała wieś na wyrąbisku, (r. 1430)
Gdy w niej za dużo było ludu
I druga wieś stała blisko. (Biedaczów)
Gdzie były lasy i jary,
Stały dwie wsie na karczowisku.
Teraz powstały chłopów swary,
Jakie nadać im nazwisko?
W końcu króla zapytano,
Który rzekł po długiej mowie:
„Niech wieś takie nosi miano,
„Jak jej fundator się zowie.
„Gdy więcej ludu biednego
„Zeszło się i placu niema,
„To druga wieś od biedy jego
„Niech nazwę *Biedaczów* otrzyma“.
Tak od Giedlara bogacza,
Który na wieś zrobił plany
I grunt dla wszystkich wyznaczył,
Jest wieś *Giedlarowa* zwana.
Chłopi okazali sztuki,
Zbudowali aż dwa sioła,
Ale brakło im nauki,
Nie było dla nich kościoła.
Bez kościoła trudna sprawa,
Lud zdziaczałby w krótkim czasie.
A *Biedaczów* i *Giedlarowa*
Stały jak sieroty w lesie.
Giedlar pobożny, bogaty
Tak rozmyślał w swojej głowie:
„Gdy już mamy swoje chaty,
„Zagrody, bydło i zdrowie,
„Musimy mieć i Dom boży,
„Przy nim także i kapłana.

„Niech z nas każdy dopomoże,
„A reszta będzie nam dana“.
Potem rzekł: „Gdy ta wieś cała
„Jest przezemnie nazywana,
„To niechże i Boża chwała
„Stoi odemnie zbudowana,
„Od Boga posiadam dary,
„Król mi dodał jeszcze więcej,
„Więc chętnie zrobię ofiarę,
„Na kościół mój koszt poświęcę“.
Wyrobił se przez starostę
U króla znów pozwolenie
Wybrać w lesie drzewo proste,
Na kościoła wystawienie.
Gdy królowi było podane,
Że Giedlar koszt na się bierze,
Jak drzewo będzie mu dane
Od króla ojca w ofierze,
Słyszac to król dobrotliwy,
„Ojcem“ w Polsce nazywany,
O chwałę Bożą troskliwy,
Jak dał chłopom w lesie łany,
Tak chętnie dla ich zbawienia
Drzewo na kościół darował,
A Giedlar z drzewa kamienia
Swoim kosztem wybudował.
Tak Giedlara są pamiątki.
Kościół i wieś „Giedlarowa“
Jak to świadczą stare książki,
Jak głosi gadka ludowa.
Choćcy Giedlar był uczony
I napisał mądre dzieła,
Nie byłby za to tak czczony,
Jak fundator wsi, kościoła.
Pięćset lat jak on już gnije.
A gdzie prochy z jego ciała?
Jednak jego imię żyje
W pamiętce wsi i kościoła.
Był biskupem Piotr Chrzastowski (1435—1452)
Do niego się Giedlar udał
Z prośbą, by dla jego wioski
Do kościoła patrona dał.
Biskup rzekł: „Gdy w tamte strony

„Gdzie jest gościniec lubelski
„Tatary robią zagony
„I rabują często wioski,
„Więc przeznaczę za patrona
„Dla was świętego Michała,
„By ten rycerz był obroną
„Zawsze na okolicę całą“.
Giedlar skłonił się i mówił:
„Dajcie nam tego świętego
„I rycerza niebieskiego,
„By nas i sąsiadów bronił.
„Przy gościńcu jest kraina
„Zaludniona i bogata,
„Mamy bydło, chleb, zwierzyne.
„Te dary Boże każde lato
„Spławiamy wodą na Sanie
„Do Krakowa i Warszawy,
„A otrzymujemy za nie
„Towary dla nas, i grosz gotowy.
„By był Odpust w jego święta,
„Gdziebyśmy się pomodlili,
„By naszych chłopców, dziewczęta
„Obronil od ciężkiej niewoli
„Śród Tatarów, co tysiące
„Naszych dzieci zabijają
„Prawie co rok, a co więcej?
„Żywe z sobą zabierają“.
Ztąd ten Święty jest patronem
Kościoła i wsi Opiekunem. Amen.

Z tej gadki słyszałem śród ludu tylko części, trudno było wiedzieć, o kim? co? ona opowiada, a że lud wspomina jakiegoś *Godlara* zamiast Giedlara prawdziwego, otóż z aktów przekolem się, że gadka cała była u ludu zmieniona za tyle lat. więc z części pozbieranych ja taką ułożyłem zrozumiałą całą gadkę, reszta jest, jak to lud od wieków powtarza.

I takie strachy bywają na świecie.

(Zdarzenie prawdziwe).

Jak to niedobrze robią ci rodzice, którzy pozwalają słującym straszyć dzieci, i sami każą ubierać cudackie lalki; bo chociaż na chwilę ukoją płacz dziecka, ale na przyszłość robią

je trwożliwemi jakoby te zające, które powiewu listka strachać się zwykły. Częstokroć taka zabawka pustych sług wywiera szkodliwy wpływ na całe życie przestraszonego dziecka, sprawdza konwulsye, a częstokroć i śmierć samą.

Po wsiach i miasteczkach, szczególnie kobiety, których wyobraźnia napojona zamłodu tysiącami przypowieści i gawędek o strachach, upiorach i duchach, stają się tak trwożliwemi, tak zabobonnemi, że najmniejszy wypadek, którego sobie wytłumaczyć nie umieją, biorą za jakieś nadzwyczajne zjawienie, boją się niewiedzieć czego, przelewając to samo na swoje dzieci. A to jest bardzo źle, bo najprzód obrażają Pana Boga, który kazał w siebie tylko wierzyć i ufać, a jak mówi Pismo święte, bez Jego woli i jeden włoszek człowiekowi z głowy nie spadnie.

Pamiętam, jeszcze małym chłopakiem byłem, to słuchając opowiadań starszych, nie mogłem sypiać po całych nocach, bo ciągle stawały mi przed oczy albo umarli hałasujący po śmierci; a o tem, jak brat z umarłego brata chciał zdjąć koszulę, a ten go złapał za rękę, która przyrosła, to tyle razy słyszałem, że naprawdę zacząłem wierzyć w to wszystko. Bywało, niech się ściemni na dworze, już choćby kijem, to mnie z izby nie wypędzisz, a niech spojrzę przypadkiem za okno, to w każdym drzewie upatrywałem olbrzyma, każdy słup biały wydawał mi się nieboszczykiem w śmiertelnem ubraniu, każdy czarny pies djabeł i t. p.

Koledzy moi szkolni, wiedząc o takim usposobieniu, tyśięczne płatali mi figle, z których Bóg jeden wie, com ucierpiał i com się napłakał.

Już to na wsi, szczególnie jak sobie gospodarz w miasteczku podpije, a wraca sam do chałupy, to z pewnością będzie go złe wodziło po różnych manowcach, będzie go napastowało w postaci kota, psa albo krowy; nieraz go i z mostu zrzuci, ma się rozumieć z takiego, na którym niema poręczy, wpakuje go do rowu, ubranie mu podrze i oczy podbije.

Ej! kochany taki gospodarzu, gdyby wam się nie troiło w oczach, a uczciwie, trzeźwo, jak Bóg przykazał, wracaliście spokojnie do chałupy, toby was złe nie napastowało, i na drugi dzień nie straszylibyście ludzi, rozgađując swoje przypadki i zaklinając się, żeście byli trzeźwi. Toć prawda, że każdy pijak do ostatka będzie się upierał, iż jako żywo jest sobie trzeźwy.

Byłem już prawie wyrostkiem, i chociaż to niby pozbyłem się dziecinnej bojaźni, udawałem zucha, śmiałem się ze wszystkich strachów na świecie, ale jak to powiadają: czem skorupka

zamłodu nasiąknie, tem na starość trąci; to i ja dygotałem za każdym razem, jak mi wypadło przejść szarą godziną około cmentarza kościelnego. Nie chcąc niby patrzeć na otwory grobów pod kościołem, zamykałem oczy, gwizdałem sobie, wstrzymując umyślnie kroku, żeby swój strach przezwyciężyć, ale niechno ominę ów cmentarz, to jak dam drapaką nie oglądając się za siebie, to tylko dudniło za mną.

Otóż w tym czasie, tak jakoś w jesieni, gruchnęła wiadomość w miasteczku, że w domu jednego zamożnego szewca straszy po nocach.

Szymonowa, siedząca komornem u szewca Skórczyńskiego, pod sekretem powiedziała Maciejowej ogrodniczce, że sama Skórczyńska, co to zawsze czerwoną jest jak burak, dziś wstała biała jak trup, bo mówi, całą noc prawie hałasuje coś po górze. Maciejowa bardzo nabożna kobieta, po prymaryi, przed kościołem powtórzyła Jakóbowej bednarzowej, że Szymonowa widziała, jak szewcowa bez ubrania w nocy wyleciała na ulicę i wołała ratunku, że zły duch, niby pies czarny kudłaty wygłał dymnikiem.

Jakóbowa znowu w jacie opowiadała rzeźniczce, co to tam za strachy są u szewca Skórczyńskiego; że pełna góra niby psów czarnych, że wyją, jakby stado wściekłych wilków, że jeden z nich łapą uderzył w twarz szewcowę, a ona padła nieżywa i ledwie ją Szymonowa otrzeźwiła. Z jatek nareszcie wszystkie sługi od utrzymujących studentów rozniosły tę wieść do domach, a gdyśmy na obiad ze szkoły wrócili, powtarzano najokropniejsze wieści.

Kto tylko był ciekawy, to biegł do domu szewca, a że ciekawość koniecznie potrzebuje swego zaspokojenia, więc pod wieczór mówiono, że szewc Skórczyński miał brata, którego podobno skrzywdził na majątku, a ten brat przed miesiącem zniknął, że nieboszczyk ojciec Skórczyńskiego zabił jakiegoś pana podróżnego, że on z całym szwadronem złych duchów plondruje po górze, że widziała dziewczka, jak okrwawiony, z przebitą piersią brat szewca schodził ze strychu i krzyczał: że sam szewc zwarjował, a wszyscy z domu na noc pouciekali.

Ale to wszystko niczem było, przy tem, co na drugi dzień gadano. Słuchajcie: parobek, tak, parobek tęgi jak sosna i odważny jak sam lucyfer, nocował w izbie szewskiej, i o dwunastej w nocy poszedł na górę. Co się tam działo, trudno wypowiedzieć, bo co tam był za krzyk, wycie, świst i szamotania, to tylko jedna Szymowa może wiedzieć. Rano zaleziono omdlałego i poranionego parobka w sieni, a kiedy przyszedł

do przytomności, to tylko: strach, mógł wymówić i znowu omdlał.

Na trzeci dzień dodano jeszcze, że strach hałasuje jeszcze bardziej, nawet sprowadził sobie karetę piekielną, sześciu końmi ziejącymi ogień zaprzągniętą, i jeździ po górze opętaniec, a dookoła czuć wyraźny zapach siarki ze smołą.

Nic więc dziwnego, że podobne gadaniny zajmowały całą młodzież szkolną, i że na lekcyi religii, którą nam ksiądz katecheta już siedmdziesięcio-letni starzec wykladał, jeden z nas zapytał go, czy są jakie strachy?

— Dla głupców i głów oślich mosindzieju — odrzekł starowina.

— Ależ proszę księdza katechety, wszyscy gadają...

— I papugi gadają mosindzieju, a kto im wierzy? Są strachy, ale dla tych, co lekcyi się nie wyuczą. a tamte u szewca mosindzieju, to pewno na dwóch nogach.

— Proszę księdza katechety — odzywam się — podobno czuć siarkę i smołę, i parobek, co nocował w tym domu, zachorował z tego, i leży bez przytomności.

— Na wszelkie fetory mosindzieju najlepsza tabaka, a że ten niezgraba spadł ze schodów i rozbił sobie mózgownicę, to plecie androny. Ot, żebym ja mosindzieju nie nosił na grzbiecie lat siedmdziesięciu, tobym owego stracha nauczył moresu.

I więcej już o tem rozmawiać nie chciał, co tyle dodało mi odwagi, że zaraz po lekcyi odzywam się do kolegów:

— Wiecie co, chodźmy do owego stracha!

— Dobrze, chodźmy — odrzekło kilkunastu, i rada w radę, ułożyliśmy się, że dwunastu najśmielszych będziemy nocować w izbie szewca i zrobimy wyprawę na duchy.

Gadać, to bardzo łatwo, ale gdy nadszedł wieczór, uważałem tchórzostwo nasze. Owych dwunastu zmniejszyło się do pięciu; inni albo się pochowali, albo udali chorych, a tu słowo się rzekło, więc duma nie pozwalała cofać się napowrót, zwłaszcza, że ksiądz katecheta sobie z owych strachów żartował.

Szewc jak się dowiedział o naszych zamiarach, tak o mało że do nóg nam nie upadł, a prosił, a błagał, choć wszystkie kobiety usilnie nas odmawiały.

— O której godzinie zaczyna hałasować? — pytamy szewca.

— Od jedenastej panie! aż do 1szej, póki kogut nie zapieje.

— Dobrze, będziemy nocować u pana; ale trzeba, żebyś spał z nami i jeszcze który z czeladzi, bo jak ten strach silny, tobyśmy mu nie dali rady.

— Oj, kochani panicze — mówi — wszystko zrobię, co chcecie, aleć co spać, to za żadne w świecie pieniądze, za żadne prośby nie będę. Gdyby mi przyszło chałupę zburzyć, to zburzę, a spać nie będę i nie będę.

Ha, niema rady — ani szewc ani czeladnik, ani żaden z mieszczan towarzyszyć nam nie chciał; więc strach i nas ogarnął, jeden spogląda na drugiego, a każdy chciałby się cofnąć. Ja, co prawda, może byłbym najpierwszym, ale Franuś Kotulski trzecio-klasista, chłopak mały, szczupłej budowy i powolnego charakteru powiada:

— Boicie się, to sobie idźcie do domu; zostawcie mi tylko świecę i dobrą laskę, a ja sam tu będę nocował.

Zawstydziliśmy się wszyscy, raz, żeśmy Franusia uważali za baj bardzo, a powtóre, że był najmłodszym i z trzeciej klasy, gdy my jako czwarto-klasiści mieliśmy pretensję do zuchwalstwa i powagi między współuczniami.

— Ale po co? — odpowiadam — żaden z nas się nie cofnie, a kto chce kphem zostać, niech sobie idzie!

Pamiętam dobrze, rozpaliliśmy ogień na kominie, opatrzyli swoje kije i kiedy szewc się oddalił, zasiedliśmy na jego warsztacie ze śmiechem szczęśliwej młodości, żartami i psotami, skracając chwile strasznego oczekiwania.

Od tego do tego, dalejże czubić się z sobą, dalejże palić w kominie szewskie kopyta, a nie mając zegarka, bo dawniej nie tak łatwo młodemu jak dziś było o zegarek, zapomnieliśmy prawie o strachach.

Aż tu naraz huru buru... stuk, puk, łomot!... Gdzie który stał, tak skamieniał, a włosy powstały na głowie i zimny dreszcz przebiegł po plecach. Na górze piekielne płasy, здавало się, że powała tylko co nie runie na nas, bo wapno i glina kawałami odpadały, a ogień trzeszczał na kominie, wiatr jesienny z deszczem bił w szyby, potrząsając starymi ścianami. Pierwszy strach najgorszy, ale wreszcie z nim, jak i ze wszystkim na świecie, oswoić się można. Tak też i my spojrzeliśmy po sobie i dalejże radzić pociechu.

— Pójdźmy na górę — rzeknie Kotulski — co ma być, to będzie, starosta albo kapucyn; przecież nas żywcem nie pozjada.

— Zaczekajmy jeszcze — mówię — dygocząc...

— Eh! to sobie czekajcie — odpowiada z flegmą i zapalą świecę w latarni.

Z izby wychodziło się zaraz do sieni, a tuż obok drzwi, umieszczone były schody na strych prowadzące. Schody te nie miały żadnych załameków, ot poprostu kilkanaście stopni

wąskich, nakształt drabiny spadzisto opartej. Pod samą powalą, tam, gdzie się owe schody kończyły, otwierała się duża i ciężka kłapa od góry.

Jak tylko drzwi przy wyjściu naszym z izby skrzypnęły, hałas na strychu przerażająco się powiększył. Zdawało się, że dach trzeszczy, z komina cegły lecą, bo uderzenie za uderzeniem w ową kłapę nad schodami powtarzało się coraz to groźniej.

Kotulski trzymając latarnię w jednej ręce, a kij sękaty w drugiej, usiadł na drugim stopniu schodów, ja na pierwszym, i w miarę jak się posuwał ku strychowi, ja także siadałem wyżej, a za mną trzech następnych.

Jakie tylko zapamiętałem modlitwy i pieśni nabożne, tom sobie je powtarzał cichutko, a ile razy mocniejszy huk dał się słyszeć od strychu, zamykałem oczy, spodziewając się lada moment straszliwego uderzenia.

Kotulski już siedzi pod kłapą.

— No, koledzy! — szepnie — ja podnoszę drzwi głową, kije na pogotowiu, naprzód w imię Boga. Józefie — mówi do mnie — podnieś się i ty, bo sam nie poradzę.

Oj! jakżebym w tej chwili chciał być przynajmniej o jakie sto mil od chałupy szewca, bo chociaż Kotulski zachował przytomność umysłu i minę zuchowatą, czego mu do samej śmierci zazdrościć nie przestanę, to ja za to mając zapruszone oczy rumowiskiem sypiącym się z góry, nie wiedziałem, co się ze mną dzieje.

Kłapa podnosi się coraz wyżej, ja stoję wyprostowany na schodach... stuk, hurkot po nad nami coraz większy. Kotulski już chce wstąpić na polepę strychu, gdy jak coś nim zawinie, jak trząśnie, to mój Franuś bach! na mnie, ja na drugiego i nie wiedząc kiedy, znaleźliśmy się leżący pokodem na ziemi.

Wobec przeraźliwego strachu, bólu z upadku nie czułem, więc po niejakiem czasie otwieram oczy... ciemno; chcę przemówić, usta mam zapakowane — krząkam więc, unosząc się nieco i słyszę, że tamci również spluwają, mruczając jak niedźwiedzie. Szczęście mieć chciało, że upadłem tuż obok drzwi izby, które popchnąwszy nogą, otworzyłem na rozcież. Proszę sobie wyobrazić, jakeśmy się zdziwili, ujrzawszy pełną sien może na łokieć od ziemi pokrytą warstwą jakby śniegu. Pierwszy wpadłem do oświeczonej izby, a za mną dopiero jak mary grobowe powstawali z owego śniegu niby zpod ziemi, strwożeni koledzy.

— Co to jest?

— Pierze — mówię — oglądając drobny puch na sukni osiadły. I dopieroż jak się zaczniemy śmiać z naszego śniegu i przestrichu, to zapomnieliśmy nawet o plondrującym pod strychem nieboszczyku. Pokazało się wtedy, że beczka tak nazwana solówka, z pierzem stała tuż przy wejściu na strych, i że kochany Franuś, otwierając klapę, trącił ją nieostroźnie tak, że spadła na nas z ogromnym łomotem, a pierze zasy-pały całkowitą powierzchnię sieni.

Przekonawszy się, że to nie strach, z nową odwagą ruszyliśmy już ze świecą w rękę na schody. Jakoś i huk na strychu słabnął, a tylko kiedy niekiedy i to w drugim kącie poddasza, dawał się słyszeć dziwny chrzęst zasuszonych czy liści, czy papierów. Kotulski na przedzie, już stoi na strychu obok muru kominowego, zwolna posuwa się dalej, gdy naraz jak nie krzyknie: Jezus Marya, i rzuciwszy zagasłą świecę, sunie się w głąb ciemnego poddasza: Trzymaj, goń, to nie duch, bo bije, woła na całe gardło... Do mnie, do mnie pędzej, trzymam za nogi, pędzej, w butach jest, w butach!

Utykając po różnych sprzętach i belkach, przypełzałem ku niemu, kierując się za głosem i dygocąc jak w febrze; z rozpaczy całą siłą chwyciłem kogoś za nogę.

— Świecy, świecy! — wołam, odbierając silne ciosy od wydzierającej się, w duży but ubranej nogi...

Za chwilę przybiegł jeden z kolegów ze świecą, więc dalejże wciągać nogi owego stracha napowrót.

Pokazało się wreszcie, że w dachu już najniżej był otwór, i tym groźny duch miał zamiar uciekać, kiedy odważny Kotulski chwycił go za nogę. Szarpał się i rzucał, ale połączywszy wspólne nasze siły, zmusiliśmy owe nogi, że się nieco przygięły, że potem pokazał się korpus, potem ramiona, ręce, szyja, a na koniec czarna kudłata głowa w białej szlafmycy.

— Takiś to zuch panie strachu! — zawołał Franuś, odwróciwszy głowę wciągniętego mężczyzny. No, no, nie udaj, a pójdz na dół; straszyłeś ludzi, to też i my ciebie przestraszmy.

Z tryumfem tedy wielkim i wesołością bez granic sprowadziliśmy do izby pana stracha. Ani mniej ani więcej, był to sobie trzydziestokilkuletni mężczyzna, wysoki jak dąb, barczysty, czarno zarosły; miał na sobie długą białą koszulę i takąż na głowie szlafmycę, w pasie przewiązany powrośtem, a w rękę trzymał dużą kość z końskiej szczęki. Widać, że wstydził się

bardzo, bo ani słowa nie chciał przemówić, a leżał nieruchomie, zasłaniając twarz rękoma.

Do samego rana przesiadeliśmy w izbie szewca, stróżując pojmanego stracha, a gdy się rozwidniło, przyszedł burmistrz i dopiero przy badaniu wszystko się wydało.

Onufry Kaliniak, szewc także z powołania, ale łotr wie-runtny, próżniak i pijak zawołany, nie mając z czego żyć, przedsięwziął korzystać z trwożliwości Skórczyńskiego mieszkającego tuż obok. W tym celu wybił otwór w dachu swego domu, a że rynna tylko rozdzielała owe dachy sąsiadujących majstrów, więc przełaził na strych kolegi, wyciągał skórę po skórze, których Skórczyński miał dobry zapas pod strychem; żeby zaś sobie wszelkie bezpieczeństwo zapewnić, udawał stracha. hałasował, stukał skórami, szeleścił i najdziwaczniejsze pogłoski między kumoszkami rozsiewał.

Dopieroż to był tryumf dla nas, gdy prawie całe miasteczko zbiegło się przed dom szewca na obejrzenie owego stracha, a gdyśmy przyszli do szkoły, ksiądz katecheta pochwalił nasz postępęk, mówiąc:

— Otóż mościdgeju, takie to czasem bywają strachy na świecie! Dobrzeście zrobili moje dzieci, żeście pokonali przesąd i tchórzostwo, bo obowiązkiem wykształconego człowieka jest nauczać i przekonywać tych, którzy mniej nauki od was mają.

Ponieważ zaś szanowny strach Kaliniak tak strwożył całe miasteczko, burmistrz na ukaranie, w tem samym ubraniu, w jakim był na strychu, kazał go publicznie oprowadzić po wszystkich ulicach miasteczka.

Mój Boże! od tego czasu ile to już lat minęło; odważny Kotulski dawno już w grobie, innych kolegów wiatr losów rozrzucił po świecie, a w miasteczku historia ta z ust do ust przeszła do dzisiejszego pokolenia. Wieczorem przy kominku rozmawiają sobie ludzie o strachu Kaliniaku, a każdy z rozsądnych ojców powtarza ją swym dzieciom dodając;

Takie to czasem strachy bywają na świecie.

Treść numeru 3-go: Serafia. — Mikołaj Giedlar, włościanin, kościół i wsi fundator. — I takie strachy bywają na świecie.

Do niniejszego numeru dołącza się **3-ci numer *Nowin i Rozmaitości.***

W Krakowie, czeionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.